

Piotr Karwecki: Szlakiem wojowników, pisarzy i poetów - czyli autem po Białorusi

Na łukaszenkowskiej Białorusi do katolickiego kościoła wchodzą ostatni żyjący żołnierze tej ziemi w polskich mundurach



(fot. Ewa Karwecka)

Na łukaszenkowskiej Białorusi do katolickiego kościoła wchodzą ostatni żyjący żołnierze tej ziemi w polskich mundurach

Kiedy przeciętny Polak słyszy w telewizji nazwę Białoruś, to najczęściej ma niezbyt przyjemne skojarzenia z byłym Związkiem Radzieckim albo równie mało przyjemne skojarzenia z Łukaszenką i represjami politycznymi.

Tymczasem Białoruś to dawne Wielkie Księstwo Litewskie, część składowa wielonarodowej i wieloreligijnej Rzeczypospolitej. Kraj naszych, polskich, lecz również białoruskich poetów, pisarzy i wojowników. Nazwiska Mickiewicza, Orzeszkowej, Bohuszewicza, Kościuszki, Sapiehów, Chodkiewicza czy Radziwiłłów to nie jest wyłącznie nasza polska spuścizna, lecz również ruska, litewska – spuścizna wspaniałej kultury Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Rodzinne historie

My z Ewą oprócz tych skojarzeń już od wielu lat mamy też inne, wynikające z naszych częstych samochodowych podróży po tym nieznanym w sumie dla Polaków kraju. Nasze skojarzenia to efekt wielu tysięcy kilometrów przejechanych po Białorusi, setek rozmów z setkami mieszkańców, setek odwiedzonych wsi, miasteczek, dziesiątek kościołów i cmentarzy. To również efekt poznawania kilkusetletniej historii własnej rodziny, która przez wieki tkwiła i rozchodziła się po terytorium niegdysiejszego Wielkiego Księstwa Litewskiego, w większości stanowiącego dzisiejsze terytorium Białorusi. Ślady moich przodków można spotkać począwszy od Wilna na zachodzie poprzez Wiłkomierz (lit. Ukmerge), Oszmianę, Gierwiaty, Wilejkę, Serwecz, Dokszyce, Dzisnę, Drysę, aż po Siebież na dawnych peryferiach Rzeczypospolitej, u granic dawnych Inflant. Karweccy, do niedawna

używający jeszcze przydomku Ramsza, szukając rycerskiej sławy i zaszczytów, a także majątków i szczęścia, wyruszyli na wojenne szlaki – z Batorym w 1581 roku oblegali Psków, potem walczyli w wojnach ze Szwedami, Moskwą, brali udział w wojnie domowej na Litwie 1700-1710 po stronie koalicji antysapieżyńskiej, po 1710 roku zaś osiedli na nadaniach wokół twierdzy Siebież przy łotewskiej granicy, pełniąc w niej jednocześnie rycerską służbę i jako pancerni bojarzy na stanicach na dawnym moskiewskim pograniczu od Siebieża po Nowel i Wieliż.

Tym razem w naszej podróży w lipcu 2011 roku mieliśmy dotrzeć do dawnego powiatu drysieńskiego w trójkącie pomiędzy granicami Łotwy, Rosji i Białorusi. Z moim dalekim krewnym Siergiejem z Mińska postanowiliśmy eksplorować tereny strefy przygranicznej. Po drodze zaś odwiedzić jak zwykle okolice Oszmiany, Żupran i Sól, a zwłaszcza moje ulubione Pociewicze i Osipany.

Bohatyrowicze i inne zaścianki

Przekraczanie granicy białoruskiej nie nastęrcza problemów. I tym razem kilkanaście minut na formalności i wio. Minęliśmy Grodno, miejsce ostatniego Sejmu I Rzeczypospolitej, w którym podpisano III rozbiór. Niedaleko Grodna, kilkanaście kilometrów na południe nad brzegiem Niemna, leży słynny zaścianek Bohatyrowicze. Parę lat temu razem z naszą córką Anią wybraliśmy się do tej miejscowości zaciekawieni tym, że historia Jana i Cecylii Bohatyrówiczów i ich krzyża opisana w powieści Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem” to nie fikcja literacka, lecz opis rzeczywistości z tamtej wsi, a bohaterowie opisani w niej to ludzie z krwi i kości. Wieś odnaleźliśmy, staliśmy pod słynnym

krzyżem nad brzegiem Niemna, a potem w Bohatyrowiczach zostaliśmy przyjęci na krótką gościnę w żółtym drewnianym domku państwa Bohatyrowiczów będących potomkami słynnych Jana i Cecylii.

Parę godzin jazdy i dotarliśmy do Pociewicz, dawnego zaścianka, w którym od 250 lat z okładem są pochowani moi przodkowie. Moi krewni mieszkają w tej wsi do dzisiaj. Pamiętam, że kiedy latem w 2006 roku pierwszy raz tam przyjechaliśmy, ujrzeliśmy widok kojarzący się jedynie ze sceną żniw w powieści Elizy Orzeszkowej. Pracujący w polu ludzie w białych koszulach, kobiety w białych chustach na głowie, a w tle drewniane kolorowe domki i studnie z żurawiem.

Cała pobliska okolica pełna była niegdyś małych zaścianków, szlacheckich dworów i majątków. Szlachta oszmiańska mężnie stojąca w obronie Rzeczypospolitej została straszliwie przetrzebiona w powstaniach listopadowym i styczniowym, a ostateczny cios zadały jej bolszewickie najazdy w 1939 roku i w latach 1944/1945, i wywózki po nich.

To co zostało po strasznych chwilach wojny i represji oraz dziesiątkach lat komunistycznego systemu w substancji materialnej, przynębia w konfrontacji z opisami z okresu przedwojennego. Na szczęście co nieco zostało jeszcze w krajobrazie: kamienne krzyże, stare cmentarze, no i ludzie ze swoimi wspomnieniami i tradycją.

Zawsze z przyjemnością i sentymentem odwiedzamy Zenka i Gienię Karweckich. Odrywamy się od rzeczywistości, radia, telewizji. Całymi dniami, a zwłaszcza wieczorami siedzimy z nimi, z ludźmi z tej i innych

wsi, którzy przychodzą pogawędzić. Wcinamy wędzoną słoninę, boczek, zagryzamy kapustą kiszoną z kminkiem, czarnym litewskim chlebem i zapijamy białoruskimi wyrobami spirytusowymi. No i śpiewamy po białorusku. Językiem codziennym bowiem mieszkańców tej wsi i innych w okolicy jest język tzw. prosty, czyli mieszanka języka polskiego, białoruskiego i litewskiego. Czysty język polski jest rozumiany przez mieszkańców tej okolicy, mimo że niewielu z nich nim na co dzień się posługuje. Aczkolwiek językiem liturgii w kościele jest właśnie język polski. Moi rozmówcy twierdzą, że nie potrafiliby modlić się w kościele w pobliskich Sołach czy Żupranach w innym języku. W domu po rusku, w kościele po polsku. Dotyczy to zarówno dorosłych, jak i dzieci.

Kamienne pamiątki

Parę dni spędziliśmy w Pociewiczach, buszując jak zwykle po okolicy i jak zwykle odkrywając wśród kołchozowych pól i leśnych ostępów kolejne ciekawostki historyczne. Jadąc pewnego dnia bezdrożami przez kołchozowe pola, na przełaj z Kuszlan w stronę Stymoni (miejscowi już nas znają, więc nie dziwią się, widząc Pajero z polskimi numerami wśród kukurydzy), natknęliśmy się na stary kamienny krzyż stojący na wysokim pagórku. Ktoś musiał być ciekawy napisu wrytego na nim, bowiem krzyż był opalany płomieniem. Po tym zabiegu na krzyżu pojawił się napis: „Boże bądź miłościw mnie grzesznemu – 1905”.

Taki krzyż musiał być postawiony jako pokuta przez kogoś, kto popełnił jakieś ciężkie wobec Boga i bliźnich przewinienie. Podobnych kamiennych krzyży w niespodziewanych miejscach znaleźliśmy jeszcze kilka, z napisami różnej treści. W inny dzień jadąc śladem, najpierw po

starej polnej, potem leśnej drodze ze wsi Nazdraczuny, niegdyś (w XVI wieku) zamieszkałej przez osiedlonych tam przez Radziwiłłów Tatarów, do wsi Gudzienięta, natknęliśmy się w lesie na ogromny krzyż z wyszabrowanym postumentem. Obok ogromna konstrukcja z równie ogromnych głazów narzutowych. W Gudzieniętach od staruszki dowiedzieliśmy się, że krzyż stoi w miejscu śmierci kilku powstańców styczniowych. Został postawiony przez rodzinę ziemian o nazwisku Łańscy. Po najeździe bolszewickim w 1939 roku Łańscy zostali wywiezieni na Sybir, ale krzyż pozostał. Ponieważ krążyły wśród miejscowych legendy o złocie ukrytym w postumencie, został on rozbity i wydrążony, ale sam krzyż stoi do dziś.

Fantastycznym odkryciem było też natrafienie na malutkim wiejskim cmentarzu w Kuszlanach na zabytkową tablicę z 1829 roku stojącą niegdyś na granicy niedalekiego majątku Wierkielany, a wykopanego w latach 70. ubiegłego wieku przez traktorzystę na kołchozowym polu. Właściciel majątku, zapewne bogobojny i czcigodny szlachcic, na pięknej tablicy umieścił napis: „Człowiecze, czcij Boga jak ojca. Kochaj ludzi jak braci. Roku 1829”.

Później poznałem całą historię związaną z tą tablicą, ale to już na inny reportaż.

Odnaleźliśmy też tzw. „Kamień Buraczka”, to jest pamiątkowy głaz w lesie koło Kuszlan, postawiony przez włościan w 1900 roku na cześć zmarłego polskiego i białoruskiego poety Franciszka Bohuszewicza – byłego powstańca styczniowego. Wcześniej kilka razy próbowaliśmy go odnaleźć, ale nigdy nam się nie udawało.

Bohuszewicz był poetą tworzącym w języku białoruskim, ale pisanym łacinką, czyli literami łacińskimi. W niedalekich Smorgoniach w parku stoi jego pomnik, a na jego postumencie tabliczka ze wzruszającym i jakże aktualnym w kontekście obecnej sytuacji na Białorusi apelem poety: „Nie pakidajcież mowy naszaj biełaruskaj, kab nie umierli”. W „moich” Kuszlanach jest muzeum w drewnianym dworku stanowiącym jego siedzibę rodową. Jest to o tyle interesujące miejsce, ponieważ na Białorusi zachowało się bardzo niewiele siedzib dworskich. Większość uległa celowej likwidacji w okresie komunizmu. Tuż obok, dosłownie przez miedzę, w parku dawnego majątku Szafnaglów zachował się piękny przykład dworskiej architektury folwarcznej – drewniany, piętrowy świren przysłupowy. Naprawdę rzadkość. Być może dlatego, że skrył się z dala od drogi w gęstwinie parkowych drzew...

Kuropaty

Czas mijał szybko. Pożegnaliśmy Zenka i Gienię Karweckich i pomknęliśmy do Mińska po Siergieja i Elenę, aby razem z nimi poszukać śladów polskości u granic Inflant. To były tereny dawnego województwa połockiego, za rzeką Dźwiną, które odpadły od Rzeczypospolitej już w pierwszym rozbiórce w 1772 roku, a po 1918 roku nie wróciły już do Rzeczypospolitej. Za granicą pozostały wówczas dziesiątki tysięcy Polaków i osób identyfikujących się z Polską, jej kulturą, językiem i wiarą. Później, zwłaszcza w okresie stalinowskim, niemiłosiernie represjonowanych, mordowanych, zsyłanych za język i wiarę. Wśród nich przodkowie Siergieja. Jego dziadek i babcia jeszcze znali język polski i czytali po polsku katechizm. Ale on sam do niedawna jeszcze nawet nie wiedział, że jego przodkami byli Polacy. Z

obawy o życie w okresie stalinowskim zaczęto ukrywać pochodzenie i nie mówiono o nim dzieciom. Niszczono dokumenty i rodzinne pamiątki mogące je wskazać. Jedno słowo mogło kosztować życie...

Takim memento były dla nas odwiedziny w Kuropatach pod Mińskiem, gdzie zajechaliśmy z Siergiejem i Eleną w drodze na północ. Kuropaty to taki białoruski Katyń, ale do którejś tam potęgi. Na granicy miasta, tuż przy głównej drodze leży miejsce kaźni kilkuset tysięcy ludzi, w tym Polaków z terenów dawnej Rzeczypospolitej, które po Pokoju Ryskim weszły w skład Związku Radzieckiego. Mordować zaczęto w 1937 roku, a skończono po ataku Niemiec w 1941.

„Każdy, kto nosił polskie nazwisko, miał polskich krewnych lub bywał w Polsce, mógł zostać oskarżony o szpiegostwo. Zabijano więc za Polskę. Na areszt i natychmiastowe rozstrzelanie skazano też większość białoruskich patriotów: naukowców, poetów, polityków, nauczycieli i działaczy społecznych”.

Ciarki przechodziły nam po plecach, kiedy mijaliśmy aleje drewnianych krzyży i drzewa, na których w wielu miejscach były tabliczki z polskimi nazwiskami... Obecnie po rządami Łukaszenki temat Kuropat w oficjalnych mediach białoruskich jest zakazany.

Minęliśmy Dokszyce, potem Głębokie, Miory, rzekę Dźwinę i Drysę. Wjechaliśmy na najdalej na północ i wschód położone były ziemie Rzeczypospolitej.

Kochanowicze

Dotarliśmy do Kochanowicz, małego miasteczka położonego kilkanaście kilometrów za Wierchniedwińskiem, czyli dawna Dryssą. W nim mieszkała siostra stryjeczna Siergieja, Tatiana z mężem i dorosłymi synami Dimą i Saszą. Mimo że było lato, przygotowana była dla nas tradycyjna białoruska łaźnia, czyli bania. Kąpiel w parze, chłostanie brzożowymi witkami, a potem polewanie się lodowatą wodą było dla nas czymś nowym, jako że w takiej akurat bani nie kąpaliśmy się nigdy. Ta była dokładnie taka jak przed setkami lat. Nawet sam budynek był postawiony z drewna rozbiórkowego z wiekowej chaty z niedalekiej wsi Wydrzyckie – lokalnego gniazda Karweckich.

Dziadowie Siergieja przybyli do tej wsi w latach 1770–1780 z niedalekiego Siebieża, prawdopodobnie jako żołnierze prywatnego wojska powiatowego marszałka szlachty – Dominika Chrapowickiego, mającego w Kochanowiczach rezydencję, a wokół latyfundium.

Niestety, po pięknym magnackim pałacu w Kochanowiczach i jednym z większych założeń parkowych na Białorusi zostało niewiele. Pałac został spalony wraz z ogromnym księgozbiorem już w 1918 roku, resztki murów wraz z fundamentami rozwleczono traktorami w latach 60. XX wieku, a kilkusetletnie drzewa parkowe wycinano systematycznie niemal do czasów nam współczesnych.

Gienadij

Za lokalnego przewodnika po okolicy zaoferował nam się Gienadij, również daleki krewny Siergieja, lekko nawiedzony, chodzący w płóciennej koszuli, w chodakach i mówiący czystym białoruskim językiem, nienawidzący komunizmu i komunistów Polak. Byliśmy zdumieni. Niepozornie wyglądający człowiek, czasami sprawiający „dziwne” wrażenie, wiedział wszystko o każdym kamieniu, każdym większym drzewie, każdej wsi i o każdym człowieku. Chyba szczęśliwy los sprawił, że to on został depozytariuszem wielowiekowej historii tej okolicy. Pokazał nam miejsca, o których nikt już nie pamiętał. Dzięki niemu dotarliśmy do wielu starych cmentarzy, na których stały żelazne i kamienne katolickie krzyże. Na niektórych z nich były jeszcze nieliczne polskie napisy.

Na jednym z zapomnianych cmentarzy, w miejscu, gdzie kiedyś była wieś Diedzino, postanowiliśmy odszyfrować zniszczony napis. Posłużyliśmy się w tym celu kartkami papieru i ołówkiem. Przyciskając papier do kamiennego krzyża i rysując ołówkiem, po jakimś czasie odkryliśmy nazwisko Jan Pietkiewicz – rok 1863. Było to nazwisko ostatniego polskiego właściciela pobliskiego majątku. Data też znamienista...

Na jeden z zapomnianych cmentarzy pomiędzy wsiami Narubie i Rubany jechaliśmy na przełaj kilka kilometrów przez pole kukurydzy wyższej od naszego Pajero, potem przez kilkaset metrów groblą na bagnach, wśród trzciny, a na końcu pieszo przez gęstwinę chaszczki, bo było już zbyt grząsko. Na końcu, wśród bagien leżała wysepka z kilkunastowiecznym, ale teraz zapomnianym cmentarzem. To było coś niesamowitego. Kamienne katolickie krzyże z zatartymi napisami, ogromne krzyże dębowe wśród gęstwin, jedna żelazna tablica z

nazwiskiem Erdmann i jeden prawie współczesny nagrobek kobiety o nazwisku Karwecka. Jak powiedział Gienadij, to była ostatnia kobieta, staruszka, która zażyczyła sobie pochówku na tej starej nekropolii. Tam byli pochowani na początku XX wieku jej rodzice. Na koniec dotarliśmy do Oświeji, gdzie na zrujnowanym polskim cmentarzu wykopaliśmy i oczyściliśmy kilkanaście pięknych nagrobków z polskimi napisami.

Codziennie przez kilka dni z samego rana Gienadij przychodził po nas i wyruszaliśmy na kolejną eksplorację. Zapomnianymi leśnymi drogami docieraliśmy do nieistniejących i opuszczonych wsi. Gienadij doprowadził nas na styk dawnej granicy łotewsko-polsko-sowieckiej, gdzie wśród lasu tkwiły potężne umocnienia, bunkry, przypominające umocnienia Linii Maginota. Pokazał nam też drogę do tkwiącego samotnie przy łotewskiej granicy jednego z największych i najstarszych dębów na Białorusi – Dębu Sahonowa, mającego przynajmniej 500 lat.

Weterani

Czas niestety mijał, musieliśmy wracać. Odwieźliśmy Siergieja i Elenę do Mińska i rano pognaliśmy z powrotem do Pociewicz. Proboszcz z kościoła w Sołach, Leonard Stankowski, zaprosił nas bowiem na uroczystą mszę odprawianą 17 lipca z okazji rocznicy wymarszu partyzanckich oddziałów AK na wyzwolenie Wilna w lipcu 1944 roku, a szczególnie IX Partyzanckiej Brygady Oszmiańskiej Armii Krajowej. Wśród wyruszających do walki partyzantów był mój ojciec Franciszek Karwecki, mój brat stryjeczny Stefan oraz kilku innych krewnych.

W kościele byliśmy świadkami niesamowitej sceny. W trakcie mszy nagle otworzyły się drzwi i w szyku wmaszerowali żołnierze w polskich mundurach z opaskami AK na ramionach. To byli staruszkowie, kombatanci, uczestnicy walk o Wilno, później po wspólnej walce wzięci do niewoli przez Rosjan i zesłani na Sybir. Scena jak z filmu „Hubal”. Na Łukaszenkowskiej Białorusi do katolickiego kościoła wchodzi ostatni żyjący żołnierze tej ziemi w polskich mundurach, z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu, z napisami AK, Łagiernik, Zesłaniec Sybiru – ocaleni z sowieckiej zagłady. Wszyscy płakali... A z prawej strony prezbiterium symboliczne malowidło, też cud – obraz przedstawiający Bitwę Warszawską 1920 roku i polskich żołnierzy goniących bolszewików, z księdzem Skorupką na czele. Niesamowite, nie zapomnimy tego nigdy.

Po mszy pojechałem jeszcze z Zenkiem i Gienią na pobliskie pole pomóc rozrzucić siano, potem szybki obiad, pożegnanie i powrót do Polski. Kolejna wyprawa jak zwykle pełna emocji, wrażeń, tym razem też zadumy...

Piotr Karwecki